

# ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



S. Matusiak.

## Koń w naszych wierzeniach ludowych.

### 1. Świętość.

Nie mogąc na tem miejscu kusić się o wyczerpanie materiału, pragniemy choć w ogólnych zarysach wskazać podstawę, na której opierają się te wierzenia.

Powiedzmy nasamprzód, że jakkolwiek wyraz koń wspólny jest wszystkim językom słowiańskim, a nawet może uchodzić słusznie za wytwór słowiański, nie jest to przecież pierwotna nazwa tego zwierzęcia u Słowian. Wyraz koń jest wytworem z materiału językowego, którego dostarczyła Słowianom dopiero kultura zachodnia za pośrednictwem Niemiec. Omówiliśmy tę sprawę szczegółowo niedawno na innem miejscu<sup>1)</sup>, więc odsyłając ciekawych do tego artykułu, pozwalamy sobie tutaj tylko nadmienić, że pierwotną naszą nazwą konia i wogóle pierwotną nazwą słowiańską tego zwierzęcia, i to wyłącznie słowiańską, zaczerpniętą jeszcze ze skarbca aryjskiego, to wyraz *żreb*, używany dzisiaj jeszcze w formach pochodnych, jak *żróbek*, *żrebiec*, *żrebica*, *żrebię* i t. p. Tyle o samej nazwie tego zwierzęcia, które nawet w życiu społecznem Słowian zdawna znaczną odgrywało rolę, a ponieważ właśnie ta jego rola dała powód do różnych wierzeń, których resztki przechowują się

wśród ludu po dziś dzień, wypada nam ją szczególniej oznaczyć.

U przodków naszych uchodził żreb za zwierzę, poświęcone najwyższemu bogu, który, podobnie jak u Greków Zeus, a u Rzymian Jupiter, był zarazem najwyższym stróżem ojczyzny, a w wojnie najwyższym, jakkolwiek niewidzialnym wodzem wojsk ojczystych. Przy każdej większej świątyni, poświęconej temu bogu, chowano kosztem publicznym na jego użytek konia, którego zarazem, jako bezpośrednio stykającego się z bogiem i z wolą jego obznajomionego, używano do wróżenia. Przybierano go wtedy we wspaniałą uzdę i pozłociste siodło, bo wtedy jakoby sam bóg najwyższy odbywał na nim przejażdżkę. Uzdę tę i siodło razem z ogromnym mieczem w drogocennej pochwie składano u stóp posągu boga w świątyni, gdyż bóg ten miał zwyczaj wyjeżdżać nocami konno dla opatrzenia granic państwa i wracać dopiero nad ranem, wszystko więc musiało być pod ręką. Po takiej wycieczce nocnej zastawano rankiem świętego żreba okrytego pianą i kurzawą, jakby po jakiej wyprawie wojennej. O tej nadzwyczajnej roli konia u dawnych Słowian, mianowicie zachodnich, rozpowiadają różne źródła historyczne, jak kronika Thietmara z czasów Chrobrego, jak żywoty Ottona bamburgskiego, znanego apostoła Pomorza, i kronika Saxona Gramatyka — wszystko z wieku XII. Thietmar powiada, że koń uchodzi „za świętość“, że kiedy zapomocą niego wróżą, prowadzą go „z korną usłużnością“ przez dwie dzi-

<sup>1)</sup> W artykule „Wieszczba i żreb“, pomieszczonym w „Ludzie“, t. XVII, str. 193—241.

dy skrzyżowane, a białe w ziemię żelaznymi grotami<sup>1)</sup>. Z żywotów św. Ottona dowiadujemy się, że kiedy r. 1124 przybył do Szczecina, żeby nawracać słowiańskich pogan, zastał tu cztery świątynie pogańskie: jedną bardzo wspaniałą, trzy pozostałe, a przy każdej kapłana. Przy jednej z nich chował się koń kosztem publicznym, „koniem Trzygłowa“ zwany, „ogromny, wypasiony, maści czarnej, nadzwyczaj bystry“. Przez caluteńki rok nic nie robił i takiej był świętości, że nikt nie był godny się na niego, a miał w jednym z owych czterech kapłanów najgorliwszego opiekuna“. Ten przechowywał w swej świątyni także jego „złoczone i posrebrzane siodło“, które na niego wkładano, ilekroć chciano zasięgnąć wieszczby, gdy zamierzano wyprawę wojenną. Wieszczba tak się odbywała. „Kładło się na ziemi dziewięć włóczni obok siebie, o łokieć jedna od drugiej. Potem kapłan, który się opiekował koniem, prowadził osiodłanego i okiełznanego, trzymając u wędzidła, przez owe włócznie tam i nazad po trzykroć. Jeżeli koń nie naruszył włóczni nogami, uważali to za dobry znak i śmiało wyruszali w pole, w razie przeciwnym zostawali w domu“<sup>2)</sup>. Niemniej ważne i dokładne wiadomości o wróżeniu za pomocą konia na wyspie Rugii podaje Saxo Grammatyk, znany powszechnie kronikarz duński. „Utrzymywali—powiada on o Rugianach—kosztem publicznym konia maści białej, któremu wyrwać włos z grzyw lub ogona było ciężkiem przewinieniem. Tylko kapłanowi wolno było karmić go i dosiadać, bo się obawiano, żeby przez częste użycie świętość nie powszedniała. Na nim podług mniemania Rugijczyków walczył Świętowił przeciwko nieprzyjaciolom swej wiary, na dowód czego przytaczano okoliczność, że nieraz rano zastawano w stajni konia okrytego pianą i kurzawą, jakby wrócił z wyprawy wojennej, przebiegłszy ogromne przestrzenie. I wróżby dokonywano za pośrednictwem tego konia, a to w taki sposób. Gdy się zanosilo na wojnę z jakim krajem, stawiali kapłani przed świątynią trzy rzędy dzid w równej odległości, wbiwszy je grotami w ziemię i skrzyżowawszy ze sobą. Po modlitwie wiódł kapłan z westybulu żreba przybranego zupełnie jakby do jazdy ku rzędom dzid. I jeżeli rzeczony rzędy przestępował żreb w pierw nogą prawą nie lewą, wrócono, że to znak dobry do prowadzenia wojny, jeżeli zaś lewą lub raz prawą, porzucano myśl o wyprawie wojennej. A nie w pierw ogłaszano wyprawę za pewną, aż trzy po sobie następujące pochody konia wypadły pomyślnie“<sup>3)</sup>.

Podobnie i u starożytnych Germanów chowano święte konie i wrócono z nich, jak o tem świadczy Tacyt, słynny dziejopis rzymski z pierwszego i początku drugiego wieku po Chrystusie. „Jest to osobliwością tego ludu — rozpowiada on w swej Germanii (c. 10) — że za pośrednictwem koni szukają wieszczb i wskazań bożych. Chowają takie konie kosztem publicznym w tychże (wyżej wzmiankowanych, świętych) gajach i dąbrowach, białego koloru, nietknięte żadną pracą na usługi ludzkie. Zaprzęgają je do świętego wozu, a kapłan i król lub najznamienitszy z ludu idzie za wozem i uważa na ich rzenie i parskanie...“

To, co było bogu i to najwyższemu poświęcone, co osobliwszą jego cieszyło się łaską, co z najwyższem bóstwem w bezpośrednim zostawało stosunku, to było świętością i jako świętość musiało mieć moc odpędzania złych demonów, moc usuwania zła lub ochrony przed niem. Stąd też nie trudno sobie wytłomaczyć takie wierzenia naszego ludu, jak te, o których niżej będzie mowa.

Już samo spotkanie się wzrokiem z tem zwierzęciem, zwłaszcza w chwilach ważnych, decydujących, jest szczęściem i zapewnieniem tego szczęścia na przyszłość. Taką ważną chwilą dla ogółu było zdawna u wszystkich narodów rozpoczęcie się nowego roku, nowego lata, które u dawnych chrześcijan rozpoczynało się ze świętami Bożego Narodzenia; taką chwilą dla poszczególnych jednostek jest np. chwila wstępowania w związki małżeńskie. To też podług wyobrażeń naszego i ruskiego ludu konia widzi w wigilię Bożego Narodzenia, będzie zdrów przez cały rok<sup>1)</sup>. Kto podług mniemania Nadrabian z nadejściem wiosny zobaczy naprzód żrebie, będzie przez cały rok mocny i zdrowy, jeżeli cielę—słabszym, jeżeli zaś gęsie lub kurczę — zupełnie słabym i niezdrowym. Widok zwłaszcza siwego konia był szczególnie miły zdawna bogom, i to nie tylko naszym, i przynosi osobliwsze szczęście, więc też podług mniemania naszych Mazurów w Prusach wschodnich trzeba do wozu państwa młodych koniecznie zaprządz siwka, żeby dzieci zrodzone w małżeństwie nie umierały<sup>2)</sup>. Siwe koniki na weselach lubili mieć także, jak my wszyscy lubimy, bojarzy międzyrzeccy i śpiewają o tem przy weselach po dziś dzień:

Hej, z Podgórza siwe koniki,  
z Podgórza,

dawnictwo Alfreda Holdera, Strassburg 1886 r.), str. 567.

<sup>1)</sup> A. Bielowski. Monumenta, I, 278.

<sup>2)</sup> A. Bielowski. Monumenta, II, 95—95.

<sup>3)</sup> Saxonis Grammatici Gesta Danorum (wy-

<sup>1)</sup> Jan Świątek. Lud nadrabski, 568.

<sup>2)</sup> Wisła VI, 768.

Wyprowadźże nas Najświętsza Panno  
z podwórza!  
Hej, parami, siwe koniki, parami,  
Dobre ludzie wyglądają za nami<sup>1)</sup>

A już najdawniejsze nasze źródła historyczne wspominają o tem, że przodkowie nasi białe konie cenią nad inne i używają ich przy uroczystych obchodach<sup>2)</sup>.

Jako zwierzę święte ma koń oczywiście i moc leczniczą. Więc też w Hucie Drohobyckiej (Galicya), jeżeli chory dostanie gorączki i jest podejrzenie, że ma tyfus, wprowadzają do izby, w której znajduje się chory, k o n i a. Jeśli koń zarzy, niema wątpliwości, że chory ma tyfus. Trzymają wtedy konia w tej izbie przez dobę w przekonaniu, że obecność jego przerwie chorobę. Kałem, oddanym przez konia w chacie, okładają głowę chorego, a moczem go obmywają<sup>3)</sup>. Co się tyczy łąna końskiego i moczu, to mają one i inne jeszcze zastosowanie. Podług mniemania Nadrabian dobrze jest mężczyźnie choremu na febrę wypić mocz koński, a kobiecie kobyli<sup>4)</sup>. Gdzieindziej łąno końskie ma moc odpędzania uroków, więc też w środku rozsady wbijają pieniek i kładą na wierzchu końskie łąno, aby nikt z przechodzących urodzaju tej rośliny nie urzekł<sup>5)</sup>. Na piegi zaś, tak niemiłosiernie szpecące twarz niewieścią, niema podług wiary w powiecie łańcuckim lepszego lekarstwa nad kobyłe mleko<sup>6)</sup>. Na Polesiu tak samo jak w Galicyi w powiecie brzozowskim używają szpiku końskiego jako lekarstwa: w powiecie brzozowskim dobry on na gościec<sup>7)</sup>, a na Polesiu, smażony w spirytusie, wyborny na reumatyzmy i łamania w kościach<sup>8)</sup>, a więc właściwie na to samo. Z powiatu radzyńskiego wiemy, że tam okadzanie dymem z przepalonego zęba końskiego pomaga skutecznie na ból ludzkiego zęba<sup>9)</sup>. A podo-

bnego przekonania jest i lud koło Bobowy w Galicyi. Tutaj mianowicie ząb konia, który ma dwadzieścia lat i był pokąsany przez psa wściekłego, spalony na popiół, ma pomagać ludziom na ból zębów<sup>1)</sup>. Podług wyobrażeń, panujących wśród Huculów, febrę najłatwiej się pozbyć przez podkadzanie i podkurzanie chorego końskim kopytem, a wid propasnyci suszą Huculi końskie jądra i niemi chorego podkurzają<sup>2)</sup>.

O niebardzo mądrym mężczyźnie powiadają niekiedy, że ma koński łeb, a o kobiecie, że kobyli. Poszło to zapewne stąd, że łeb koński czy kobyli jest bardzo twardy, a powstało w czasach, kiedy respekt dla końskiego rodu znacznie podupadł, lecz nie ujmuje to bynajmniej waloru dla końskiej i kobyłej głowy i pod innym względem. W Prusach wschodnich zużytkowują mianowicie nasi Mazurzy koński łeb jako wyborne lekarstwo na angielską chorobę u dzieci; w tym celu bierze się tam koński łeb, a milcząc i nie oglądając się, idzie się we czwartek po wieczery do dołu glinianego, w którym nazbierało się wody deszczowej. Bierze się tej wody pełne wiadro i przynosi do domu, potem się ją zagrzewa i wlewa do balii, a wławszy, przeprowadza po niej trzy razy łeb koński od wschodu ku zachodowi, poczem w tej wodzie kąpie się dziecko. Po kąpeli rozdziera się dziecku koszulę na piersiach i wraz z wodą odnosi się (wodę i koszulę), nic nie mówiąc i nie oglądając się, do owego glinianego dołu. Tę samą praktykę trzeba powtórzyć jeszcze dwa razy w tym samym sposobem, a napewno nastąpi polepszenie i uzdrowienie<sup>3)</sup>. W Chełmszczyźnie gospodarz pewien, poprawiając podwalinę swej chałupy, podważył ją i znalazł zakopaną pod nią końską głowę. Mniemając, że to rzecz niepotrzebna, wyrzucił ją, ale od tej chwili opuściło go szczęście, jakiego w tej chałupie zażywał, i zniknął dla niego wszelki spokój, tak, że gdziekolwiek poszedł, wszędzie go coś nudziło i dręczyło. I trwało to dopóty, dopóki tej samej głowy nie odszukał i nie zakopał na nowo pod chatą<sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> A. Pleszczyński. Bojarzy międzyrzeccy, 66.

<sup>2)</sup> W. A. Maciejowski. Polska, I, 149.

<sup>3)</sup> Lud, XI, 397.

<sup>4)</sup> J. Świątek. Lud nadrabski, 632.

<sup>5)</sup> Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, III, 11.

<sup>6)</sup> Lud, VIII, 368.

<sup>7)</sup> Lud, II, 156.

<sup>8)</sup> Wisła, V, 506.

<sup>9)</sup> Lud, XII, 269.

<sup>1)</sup> Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, V, 136.

<sup>2)</sup> O. Kolberg. Pokucie, III, 171.

<sup>3)</sup> Wisła, VI, 412.

<sup>4)</sup> O. Kolberg. Chełmskie, II, 180.



## Miasteczko w zaborze pruskim.

2)  
(dok.)

(Garść wrażeń z wycieczki do Ostrzeszowa).



FARA W OSTRZESZOWIE.

I znachorzy jednak nie mogli „odczyścić“, ani „zamówić“ upartego kottuna. Wkońcu rzecz wyjaśniła się. Na młodą i piękną panią rzucono czary i to — wedle niemylnych poszlak — przez czarownice z tegoż Doruchowa. Rozpoczęło się energiczne śledztwo, które wydało nadspodziewane rezultaty. O wszeteczne i bezbożne stosunki z czartem poszlakowanych było aż 14 kobiet, przeważnie matek dzieciom. Wszystkie je poddano próbie „pławienia“, jak kazał zwyczaj, i przy zajadłej pomocy czarta żadna z nich nie utonęła. Wobec tak pewnych poszlak wszystkie 14 związane, zapakowano do beczek obciągniętych płótnem, odwieziono do Ostrzeszowa i oddano „mistrzowi“, aby ten torturami wydobyl z nich przyznanie się do bezbożnych praktyk.

Wedle lapidarnego brzmienia protokołu „ciągniono je“ na torturach; trzy „mglejszej natury“ zmarły, a reszta — jedenaście — przekonane zostały w zupełności argumentami ówczesnego prawa i przyznały się do czarów całkowicie; jak zeznały wszystkie — przez zazdrość cudnej urody dziedziczkę nabawiły obrzydliwej choroby.

Po wycierpieniu nieludzkich mąk wszystkie 11 w uroczystej procesji odwieziono do Doruchowa z powrotem, aby tam na miejscu swych ohydnych praktyk z szatanem, oraz krzywdy, wyrządzonej dobrej i pięknej, jak anioł, dziedzicze przykładnie ukarane zostały.

Poza wsią ułożono stos olbrzymi, dookoła

stały tłumy ludności, co się zbiegła, zarówno z Ostrzeszowa, jak i ze wsi okolicznych, i tam wszystkie 11 czarownic rzekomych spalono uroczystości. Asystowały temu aktowi sprawiedliwości władze grodzkie, delegata biskupiego, oraz cały konwent bernardynów ostrzeszowskich, którzy ponurem „Dies irae“ i modłami za konających nie byli w stanie zagłuszyć strasznych krzyków i jęków palonych na wolnym ogniu nieszczę-

nych ofiar fanatyzmu i ciemnoty.

Obejrzawszy, choć zdala, miejsce tej straszliwej tragedji, ostatniej bodaj na ziemiach polskich, wracamy do miasta na obiad i pogawędkę.

Z lekkim wstydem spoglądaliśmy na siebie, my krajoznawcy, widząc, jak bracia z pod zaboru pruskiego znakomicie przyjęcie wycieczki zorganizować potrafią. Pogawędka, toczona swobodnie, zastąpiła nam wyczerpujące referaty; ułożyła się z tego zupełna całość dokładnego o Ostrzeszowie pojęcia. Zarazem zaś mieliśmy przed sobą obraz tej roli, jaką w zaborze pruskim odgrywa każde niemal miasteczko.

Historję Ostrzeszowa wyłożył nam wyczerpująco, a nadzwyczaj żywo, ks. Dymek, prezes obwodowy Tow. Czytelników ludowych, zasłużony działacz miejscowy.

Początki Ostrzeszowa sięgają XIII w. Nazwę swoją wyprowadza miasto od rycerza Ostrzesza, któremu zostało nadane jego terytorjum. Wrosło miasto za Kazimierza Wielkiego, który nadał mu rozległe przywileje, prawo składu, oraz wybudował zamek i ładną farę.

Znajdując się na uboczu od terenu wojen Rzeczypospolitej, a jednocześnie na trakcie z Wrocławia do Kalisza i Wielunia, oraz z Poznania i Gniezna na Śląsk i do Krakowa, Ostrzeszów, już jako stolica starostwa grodowego, rozwijał się i słynął jarmarkami aż po XVII stulecie. Należał on do miast, gdzie aż do osta-

tnich czasów był wzbroniony pobyt Żydom; to też i rozwinęło się w nim mieszczaństwo rdzenne polskie. Zniszczony w 1656 r. przez wojska posiłkujące jen. Müllera podnosił się z trudnością i w 1816 r. po wejściu w skład W. Ks. Poznańskiego liczył zaledwie 1497 mieszkańców. W ostatnich dopiero czasach miasto szybko rośnie.

O dzisiejszym stanie polskiego handlu i przemysłu wyczerpująco mówił p. Mørweg. W rzemiośle i przemyśle Polacy mają znaczną przewagę. Właściciele firm Polaków liczy Ostrzeszów: stolarzy 8, rzeźników 9, tapicerów 5, piekarzy 12, krawców 5, cukierników 3, balwierzy 3, blacharzy 3, kowali 4, ślusarzy 3, kołodziejów 3, malarzy 4, zdunów 2, dekarzy 2, blacharzy 3, siodlarzy 5, krawcowe 4, malarzy 4, po 1 tokarzu, kuśnierzu, kamieniarzu, powroźniku, dentyście i t. d. i wreszcie samodzielnych szewców Polaków — 60. Z fabryk polskich mamy: drukarnię, fabrykę maszyn, fabrykę pomp, mebli, młyn parowy, 3 dystylarnie, 2 cegielnie, fabrykę korków i kilka innych. Handel polski rośnie stale, dziś już ostrzeszowianie mogą w zupełności we wszystko u swoich się zaopatrywać, handel ostrzeszowski 40 firm polskich liczy wśród siebie. A byłoby więcej, gdyby nie pewna nieśmiałość i małe wyrobienie polskich kupców. Podczas bowiem, gdy każdy Niemiec, choćby obracał niewielką sumą w handlu, zapisuje się do rejestru firmowego, początkujący handlarze Polacy unikają tego, bojąc się opłat wzmózonych. Stąd też mamy kilku np. handlarzy bydłem i trzodą chlewną, których obroty wynoszą krocie tysięcy rocznie, niezapisanych do rejestru. Jedyne w Ostrzeszowie 2 księgarnie i 2 hotele, zarządzane z komfortem, również należą do Polaków.

Pod względem społecznym kupiectwo polskie idzie w pierwszych szeregach ruchu narodowego i tworzy ośrodek świadomego i zorganizowanego żywiołu polskiego, t. zw. bowiem zawody wyzwolone, to, co w Królestwie nazywa się inteligencją — reprezentowane przez 2 adwokatów, 3 lekarzy i 1 dyrektora banku — tworzy zbyt słabą liczebnie, a wręcz przepracowaną zawodowo grupę, aby mogło odgrywać wybitniejszą rolę. Gorzej pod względem wyrobienia społecznego przedstawia się żywioł rzemieślniczy. Zdaniem prowodyrów miejscowych rzemieślnik lubi chodzić samopas i do istniejących stowarzyszeń wciąga się bardzo powoli. Przykładem pewnej opieszałości rzemieślnika miejscowego służyć może niepowodzenie wszelkich prób spółek dla zakupu surowca, które zawsze zawodziły. Wogóle kooperatywa w Ostrzeszowie reprezentowana jest słabo. Nie ma nawet zrzeszenia spożywczego.

Życie społeczne i towarzyskie w Ostrze-

szowie rozwija się, jak zresztą wszędzie w zaborze pruskim, dobrze; jeżeli zaś porównamy z naszymi miasteczkami Królestwa — można powiedzieć — wręcz wspaniale.

Czterotysięczna ludność polska Ostrzeszowa utrzymuje 14 stowarzyszeń wszelkiego rodzaju. Macierzą ich jest od lat 42 istniejące Towarzystwo Przemysłowe, rodzaj uszlachetnionego klubu mieszczańskiego. Celem jego jest wyłącznie praca kulturalna i życie towarzyskie wśród członków, których dziś liczy 78. Tu też obowiązuje najbardziej „arystokratyczna“ składka, bo „aż 15 marek“ rocznie, podczas gdy we wszystkich innych stowarzyszeniach przeciętnie płaci się 3 marki. Z „Przemysłowego“ wyłoniło się stowarzyszenie „Śpiew“ ze 108 członkami, uprawiające kult muzyki — (chór mieszany liczy 40 osób) i złożone niemal wyłącznie z młodzieży. O „Sokole“ mówiliśmy już; sport uprawia również towarzystwo „Kołodników“. Abstynenci posiadają swoje „Wyzwolenie“, panie grupują się w filantropijnem „Tow. Wincentego à Paulo“, oraz kulturalnem — „Tow. Czytelni kobiecej“. Rolnicy okoliczni stworzyli „Kółko rolnicze“. Kupcy samodzielni mają „Tow. Kupieckie“. Subiekci, urzędnicy banków i spółek grupują się w „Tow. młodzieży kupieckiej“, najbardziej bodaj ruchliwym. Uczniowie kupieccy i rzemieślnicy — w „Tow. młodzieży katolickiej“. Ze stowarzyszeń zawodowych w Ostrzeszowie istnieje filia robotniczego „Zjednoczenia zawodowego“ oraz „Katolickie Tow. Robotnicze“, zostające pod despotyczną władzą księdza patrona, którym z urzędu jest proboszcz miejscowy. Stowarzyszenia ostrzeszowskie łączą się w pewnego rodzaju unię lokalną, która za pośrednictwem delegatów, utrzymuje wspólnego woźnego—inkasenta („kursor“), reguluje terminy i programy zabaw, zarządzanych przez poszczególne towarzystwa, wynajmuje wspólne miejsce dla gier i zabaw, ogródki dla dzieci członków towarzystw, zbiera pewien podatek od biletów na zabawy, przeznaczony na cele ogólne, i wreszcie — nowość godna naśladowania—czuwa nad czystością polszczyzny w towarzystwach, pobierając kary za germanizmy, popełniane w mowie i t. d.

W końcu zaznaczyć trzeba jeszcze jedną ważną cechę życia społecznego w Ostrzeszowie, wspólną zresztą wszystkim znanym miasteczkom w Poznańskim.

Oto promieniuje ono na okolicę, jest jakby ośrodkiem życia polskiego dla wszystkich wsi okolicznych w promieniu dość dużym. Pod względem ekonomicznym „Rolnik“, „Kółka rolnicze“, „Bank Ludowy“ — pod względem zaś oświatowym „Towarzystwo Czytelni Ludowych“ zaznaczają swoją działalność dobitnie. Tej

ostatniej instytucji trzeba słów parę poświęcić.

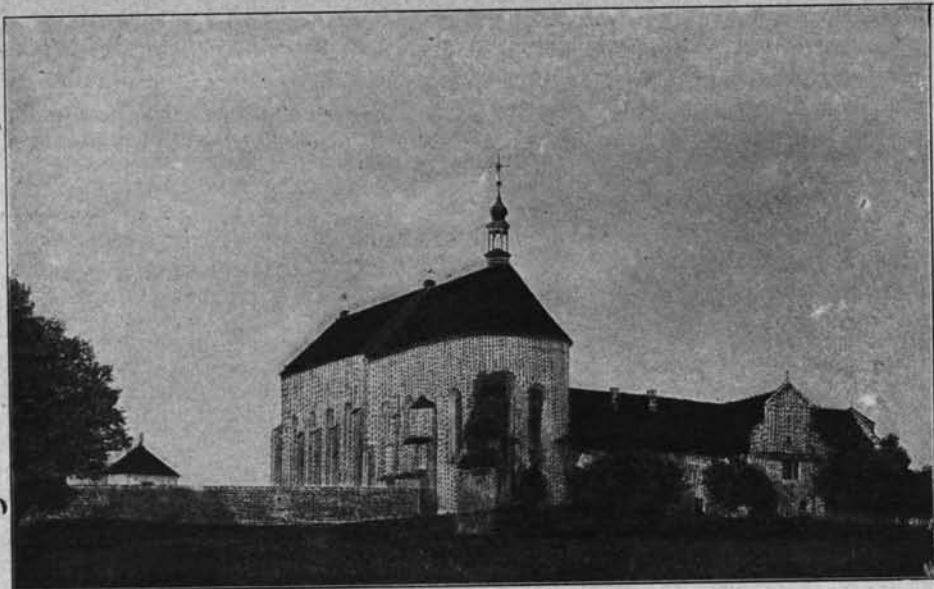
W ciągu okresu lat 1908—1912 Ostrzeszowski Komitet powiatowy T. C. L. liczbę biblioteczek wiejskich z 8 podniósł do 33, wydatki zaś roczne z 191,90 marek do 2,157,32. Zmusiło to Komitet do podziału powiatu na 8 obwodów, zawierających po 3—6 miejscowości zorganizowanych. Prezesami obwodowymi zostali w ogromnej większości (6) księża, dobierający sami już kolektorów i bibliotekarzy, przeważnie z pośród właścicieli miejscowych. Organizacja ta, składająca się z 8 prezesów, 33 bibliotekarzy i 57 kolektorów, obsługiwała w 1911/12 roku w 37 miejscowościach 1,646 członków zorganizowanych, którzy wpłacili 2,764 m. 34 f. składki rocznej. Obwody miały do rozporządzenia 4,548 książek, które wypożyczono 36,623 razy.

Poza tem centralna biblioteka i czytelnia w Ostrzeszowie, w której skład weszły biblioteki całego szeregu towarzystw, obsługuje miasto i wysyła do różnych miejscowości powiatu biblioteczki ruchome. Czytelnia składa się wyłącznie niemal z pism ofiarowanych. Zauważamy, jak zresztą wszędzie „na prowincyi“ Księstwa, zupełny brak pism i dzienników z Królestwa i Galicyi. Poza obsługiwaniem i zakładaniem biblioteczek wiejskich, stałych (których liczba bez ustanku rośnie, np. od 1 lipca do 1 lutego przybyło — 7) i ruchomych Towarzystwo urzędu odczyty popularne z pokazami i obrazami świetlnymi, wiece pogadankowe i t. d.

Jak na budżet 3,000 marek rocznie, jest to robota wielka i owocna. Praca w organizacji T. C. L. jest oczywiście bezinteresowna, z wyjątkiem usługi. Koszty administracyjne są zresztą niewielkie. Lokal, światło, opał kosztują 225 m. rocznie, koszty odczytów i pogadanek — 100.

I znowu cuda robi przy tak małych środkach idea związku z innymi stowarzyszeniami, skąd zawsze idzie pomoc skuteczna.

Po obiedzie zwiedzamy jeszcze leżący poza miastem starożytny klasztor bernardynów,



KLASZTOR BERNARDYNÓW W OSTRZESZOWIE.

dziś zamieniony na szkołę, Obdarowani wreszcie egzemplarzami „Przewodnika Ostrzeszowskiego“, oraz jako osobliwością lokalną, „Mniejszym katechizmem Marcina Lutra“ dla ludności polskiej“, z której około 10,000 ewangelików zamieszkuje okolice Ostrzeszowa, serdecznie wdzięcznym sercem żegnamy gościnnych rodaków i ruszamy z powrotem.

Po drodze zwiedzamy śliczny Antonin, zamek myśliwski prezesa Koła Polskiego ks. Ferdynanda Radziwiłła, właściciela największej polskiej własności ziemskiej w Księstwie. Leżący wśród pięknych lasów zameczek drewniany, oryginalnie bardzo urządzone i umeblowane, wart szczegółowego opisu. Oglądamy panieński pokój niedoszłej Hohenzollerowej, ukochanej przez późniejszego cesarza Niemiec Wilhelma księżniczki Ludwika, podziwiamy bogaty zbiór broni i trofeów myśliwskich.

Uderzają nas napisy niemieckie na trofeach ostatnich lat. Wyjaśnienie otrzymujemy bardzo bolesne. To trofea łowów, gdzie gospodarzem był przyszły dziedzic dóbr Radziwiłłowskich, syn prezesa Koła Polskiego. Sam zniemczony zupełnie, żonaty z cudzoziemką, powoli germanizuje olbrzymie dobra, które za jego dziedzictwa, staną się jednym więcej latyfundiów, przewyższającym rozmiarami całą własność kościelną w Księstwie.

Smutne to zestawienie rodu historycznego, oddającego Niemczyźnie tysiące morgów ziemi polskiej, z ostrzeszowską drobnicą mieszczańską, która tak zajadle o polskość swoją walczy.

## P O Ł A G A.

Najsilniej zaznaczającą się zdolnością w ludzie żmudzkiem jest wielkie a umiejętne zamiłowanie dla tkactwa; poza tem lubią organizować chóry i, acz głosów pięknych brak zupełny, posiadają za to muzykalne ucho. Śpiewają, zebrawszy się w ciasne koło, przyczem patrzą sobie wzajemnie w twarze z pewną charakterystyczną uwagą. Mają też żyłkę do ornamentacyjnego rysunku i snycerstwa; świadczą o tem ozdoby chat i kapliczek przydrożnych, jak również bardzo zręcznie z jednego kawałka drzewa wycięte obuwie, identyczne z sabotami chłopów w Normandji lub Bretanii. Chłop żmudzki, a w pewnej części pejzaż, zamiłowanie ludu, temperament i atmosferyczne warunki, nawet roślinność, szczególnie w zachodnio-południowej połaci, zbliżone są do Holandji.

Chryścjanizm i wyznanie katolickie ze wszystkich dzielnic dawnej Rzeczypospolitej najmłodsze, najgorliwszych znajdują jeszcze na Żmudzi przedstawiciele w ludzie. Wieś żmudzka do dziś dnia jest fanatycznie katolicka. Uczciwość, brak kradzieży i rzadkość kryminalnych występów chlubnie wyróżniają ten kraj.

Silne poczucie dawnej hierarchii społecznej daje barwę średniowiecza stosunkom ze służbą. Wierność i poczucie swego obowiązku dziwnie odbijają od powszechnie wzrastającego sceptycyzmu i chęci życia nad stan, szerzących się obecnie w każdej warstwie i w każdym kraju. Dostyc porównać stosunki fabryczne i osad rolnych Królestwa, aby przepaść, dotąd dzielącą te dwa światy, ocenić.

Przeciętna własność chłopska wynosi od 40 do 60 dziesięcin ziemi, a bywają nierazko posiadacze 250 i więcej dziesięcin. Zamożna chata włościańska wychowuje dwu i więcej synów w seminarjum duchownem i na wydziale medycznym, prawnym lub matematycznym.

Po zniesieniu poddaństwa wielkie nadziei ziemi dworskiej nie zakończyły sprawy dworu z chatą. Pozostały serwituty, do dziś dnia czekające rozwiązania.

Gęste kościoły, z drewnianych przebudowywane obecnie kolejno na murowane, zgromadzają kilkanaście razy do roku całe okolice na odpusty, przy których odbywają się t. zw. „kiermasze“, na których przemysł i handel wiejski bywają niezłe reprezentowane. Piękne kołowrotki, gładkie i zgrabne lipowe łyżki, miski, klumpie czyli trzewiki drewniane są głównym produktem

przemysłu drzewnego. Tkactwo zajmuje honorowe miejsce, najstabiliej jest reprezentowane garncarstwo.

W czasie procesji używane są do dziś dnia kotły miedziane, naciągnięte skórą, służące za bębny w czasie dzwonienia, a znane w kozańczyźnie pod nazwą: litaura, pochodzące z czasów obozowisk polskich.

Rasa koni żmudzkich przystosowana jest do dróg i klimatu, ale zbyt zaniedbana i, jak wszystko w tym kraju, niedoceniona. W obecnym czasie rzeki spławne w całym kraju przepełnione są tratwami z drzew ciętych i ociosywanych na krótkie, pod miarę piłowane „rolki“. Największe więc bogactwo Żmudzi i niezastąpiona jej poezja i odrębność — lasy, giną niepowetowanie i szybko.

Wielki brak głębszej myśli i szerszego spojrzenia na rzeczy cechuje dziś ziemiaństwo żmudzkie. Z niedającymi się zauważyć wyjątkami nie znają oni wartości i piękna swego kraju i produkcyjnie służyć mu nie umieją, a zdarzają się częste wypadki wprost zaniku zmysłu praktycznego, a co za tem idzie, gospodarowanie w kraju wandalskie, niszczytelne, już nietylko pod względem estetycznym i naukowym, ale i ekonomicznym, na każdym niemal kroku widzieć się daje. Jak praca nad odrodzeniem Litwy przez młode warstwy emancypującego się ludu skutkiem braku orientacji i zestrzelenia sił rozpierchłych postępuje bardzo wolno, zbyt wolno, w stosunku do zgłębku, jaki wytwarzają nieprodukcyjne w ich tonie utarczki, i często najdłuższemi, najdalej od celu wijącemi się drogami stąpa, tak i życie polskie dworów na Żmudzi zdradza niepokojące symptomy. Zupełny brak uspołecznienia pojęć i łączności jakiegokolwiek z szeroką falą życia narodo-umysłowego. Bezczynność starca, zamykająca się w najciaśniejszem kole najprostszych wymagań, wykazuje jeszcze niższy upadek ideału niż „enrichissons nous“ — bo zagraża zupełnem odcięciem od wszelkiego życia nazewnątrz, obowiązki społeczne załatwiając przez prenumerowanie jednego dziennika polskiego (często przy kilku rosyjskich lub francuskich). Resztę życia na jałowych a zagorzałych procesach i kłótniach z najbliższem otoczeniem trawiając, hoduje wynaturzone już odruchy harpagoństwa i absolutyzmu względem słabszych. Obraz ten nasuwa słuszne przypuszczenie, iż z rokiem 1863 znikło na Żmudzi



Z OKOLIC POŁĄGI. WPŁYW WIATRU NA KSZTAŁT SOSEN NADBRZEŻNYCH.

fol. ze zb. Pol. Tow. Krajozn.

szlacheckiej, wszystko co najszlachetniejsze, co polskie i bohaterskie.

Liczne dotąd zaścianki biednej szlachty, z chwilą narodzenia się ruchu nowoliteńskiego, przychyliły się ku dworom ziemiańskim. Tam jednak znalazły zupełne nieprzygotowanie i pierwsze, zrażające do przyjaźniejszych stosunków, odruchy.

Następstwem tego jest nieodżałowane usunięcie się tej warstwy ludzi od polskości i rozpyływanie się we wrogiej jej dziś nowoliteńszczyźnie.

\*

Połąga leży na szlaku rybackim. Lud ten różni się trochę powierzchownością i akcentem od mieszkańców głębszego lądu, chociaż i tu spotykają się cechy powyższe. Ogólnie biorąc jednak, należy ze smutkiem stwierdzić, że bliskość Prus kulturą swą zewnętrzną zaciera cechy właściwe, a brak uświadomienia artystyczno-historycznego skierowuje energię narodową również w tym niepożądanym kierunku przez fałszywe akcentowanie cech etnicznych. Przy Połudzie był dawnymi czasy port, do którego zwykły przybywać okręty z obcych krain dla zakupu zboża, które Żmudź produkowała w wielkiej ilości. Władysław IV w czasie bytności swej w Wilnie d. 5 kwietnia 1639 r. dozwolił,

aby Połąga iniewała targi w dni czwartkowe a kiermasze na św. Jerzy i św. Jakób.

W r. 1646 Stanisław Woyna, właściciel Sałant, wystawił nową altaryę przy kościele połągowskim.

August III, dnia 21 maja 1742 r. dozwolił Żydom mieszkać w Połudzie. W r. 1696 za Augusta II Sasi stali obozem pod Połudą, objęli ekonomię szawelską i inne przyległe miejsca, rozpędzali wszędy kupującą się szlachtę, czyniąc niezmierne rozwiązłości i nadużycia (Narbut. 1843 r.).

Najbliższe okolice stanowi na wschód Krytynga, czyli Krystynga — ongi posiadłość krzyżacka Krystyna, który tu panował jak absolutny władca. Do niego stosuje się bajka o pięknej dziewczynie:

„Miał rybak pod Połudą słynną z piękności córkę, która, przebierając w wyborze licznie napływających wielbicieli, odznaczała się prócz urody niezwykłym dowcipem i rozumem. Postyśzał krzyżak o pięknej dziewczynie, i przywoławszy ojca, rozkazał mu przywieść córkę na zamek. Rybak w prośby i wymógł tyle, że krzyżak obiecał mu nie ukrzywdzić córki i puścić ją wolno, ale pod warunkiem, że wypełni trzy zadania i da tem dowód swej mądrości. „Niech więc przyjedzie do mnie konno a nie konno i nie wozem i nie pieszo, niech będzie



ubrana a nie ubrana i niech mi co podaruje a nie podaruje<sup>a</sup>.

Wraca rybak strapiony, pewny zguby swej jedynaczki, i przyszedłszy do chaty oznajmia jej żądanie krzyżaka. „Nie bój się ojcze — mówi piękna Żmudzinka — dam ja mu radę i jeszcze go zadziwię moim rozumem, a może i co dobrego dla uciśnionych zdziałać potrafię<sup>a</sup>”. Nazajutrz, skoro świt, siada dziewczyna na kozła, przywdziewa na siebie sieć ojcową i schwytawszy wróbla wyrusza do Krytyngi. Wybiega zdumiony krzyżak na podwórzec zamkowy, piękna rybaczka podjeżdża bliżej i pokłoniwszy się panu ofiarowuje mu wróbla, który z jej dłoni ulata. Krzyżak, podbity jej wdziękami i zdumiony rozumem, pojął ją za żonę, a ta umiała zawładnąć mężem, czyniąc liczne ulgi poddanym i kładąc koniec nadużyciu i uciemieniu<sup>a</sup>.

Później należała Krytynga do hetmana Karola Chodkiewicza i jego małżonki, którzy, ufundowawszy klasztor ojców bernardynów, podarowali klasztorowi Krytyngę. Obecny pałacyk Aleksandra hr. Tyszkiewicza, syna Józefa, który kupił Krytyngę i Połagę (ta ostatnia była przed zaborem w ręku biskupa Massalskiego) przerabiany już parokrotnie, był myśliwskim schronieniem hetmana, który zjeżdżał tu do puszczy na łowy. Klasztor, w r. 1911 przerebiony i oszpecony przez przystosowanie do potrzeb dzisiejszych, posiada jeszcze resztki za-

bytków i pamiątek z czasów napadu Szwedów i niestety zniszczoną przez rabunki dużą bibliotekę i archiwum klasztorne. Piękne portyki późno-renesansowe znikły przy przeróbce, jako też drzwi rzeźbione bogato, których się próżno miała siekiera szwedzka i ogień.

W połowie drogi z Połagi do Krytyngi (po żmudzku przerobione na Kretyngos i dlatego fałszywie po polsku zwana Kretyngą a nie Krytyngą, jak pierwotnie było) w stronie południowej, nad gościńcem, ciągną się orne pola na kurhanach przedhistorycznych, w których w latach 1905—1906 znaleziono (Komisyja petersb. oddział arch.) rycerza w zbroi z wieku XI lub XIII i piękne zabytki rzymskich ozdób ze starożytnego, miększego od złota brązu. W tejże okolicy włościanie znajdują ciekawe okazy. Jeden z nich jest właścicielem kamiennego paciorka biało-szarego, na którym jest prześlicznie wymalowane oko, w kolorach naturalnych, obracające wzrok za patrzącym<sup>1)</sup>.

Na południe od Połagi leżą bezpośrednio Prusy, czyli dawne Pomorze. Lud tam mówi tym samym językiem, ale ubiera się inaczej i wyznaje religię luterzańską. Z zachodu morze

<sup>1)</sup> Włościanin ów z tym paciorkiem za żadne pieniądze rozstać się nie chciał. Zdaje się, iż mu przypisywał cudowność.

oblewa mieniącą falą Połagę, a na północ kilka małych rzeczek poprzedza graniczną rzekę Świętą (Szwenta), poza którą rozciąga się ziemia lotewska (Kurlandya i Liwonia). Do Świę-

tej ciągną się osady i wioski rybackie, przy każdej zaś z nich jest u brzegu morza przystań, t. j. miejsce zbierania się rybaków na połów.

C. D. N.



Bolesław Ślaski.

## Kościół rybacki w Jastarni.

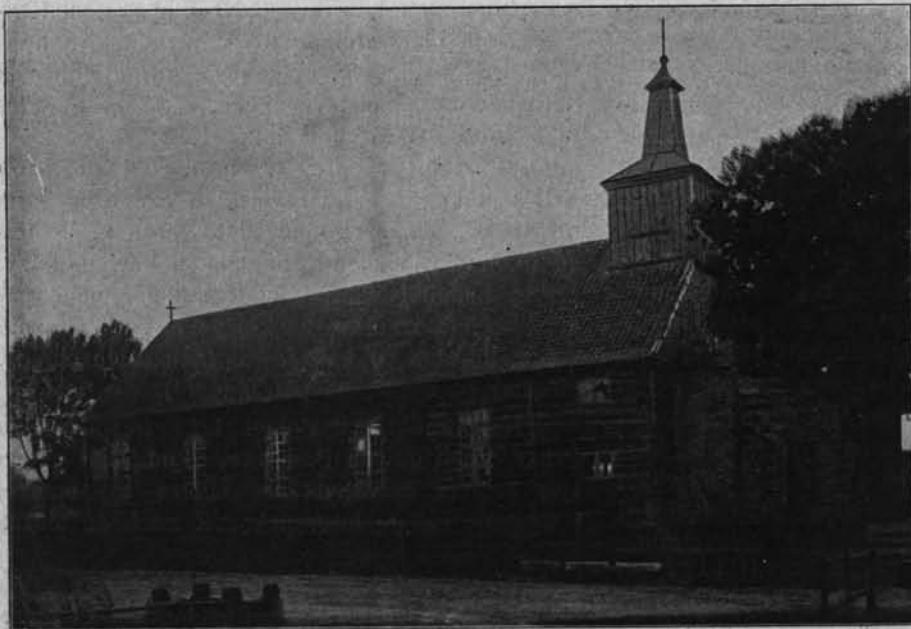
Znikają stopniowo liczne niegdyś na obszarze ziem polskich kościoły drewniane. Znajdziemy je wprawdzie jeszcze nie tylko w zapadłych zakątkach kraju, ale nawet w niezbyt wielkiej odległości od Warszawy (np. we wsi Ostrówku nad Wisłą<sup>1)</sup>), naprzeciwko góry Kalwaryi); stają się one jednakże coraz większą rzadkością.

Do ocalałych okazów tego rodzaju budownictwa w zaborze pruskim należy kościółek t. zw. rybacki w Jastarni na półwyspie Helu, oblewanym falami „Wielkiego“ i „Małego“ mo-

<sup>1)</sup> Zaznaczam tu błędną wskazówkę „Słownika Geograficznego“, jakoby w Ostrówku istniał kościół m u r o w a n y (T. VII, str. 715, p. 24).

rza. Poświęca mu obszerniejszą wzmiankę ks. Gołębiowski w swoich „Obrazkach Rybackich“, i stamtąd też głównie czerpiemy szczegóły do niniejszego opisu.

Kościół naszych rybaków morskich istnieje w dzisiejszej swej postaci od r. 1836 (był tylko cokolwiek podłużony przed trzydziestu paru laty) i powstał z pierwotnej kaplicy, fundowanej w r. 1766 przez starościnę pucką, mozną panią Urszulę Przebendowską. Z zewnątrz budowla ta nie przedstawia nic osobliwego. Zrąb jej tworzą mięszsze osmolone tarcice, a górne zakończenie — zwykły dach skorupiany; ponad czerwonym krytem wznosi się dostrojona z nim pod względem barwy wieżyca (sygnatury), jednostajność zaś czarnego tła dolnej konstrukcji, nie mającej przytem ani wyskoków, ani zdobień, przerywaną jedynie modre obramowania okien i drzwi<sup>2)</sup>. Natomiast wewnątrz kościołka, obliczonego na 600 osób, a posiadającego obok głównej płasko sklepionej nawy dwie boczne, przedzielone filarami, jest na-



KOŚCIÓŁ W JASTARNI NA HELU.

rot. ze zb. Pol. Tow. Krajozn.

<sup>2)</sup> Ks. Gołębiowski zaznacza, iż modry kolor, przypominający błękit fali morskiej, jest ulubiony przez naszych „wyspiarzy“. Słuszność tego zdania mogę potwierdzić na zasadzie własnych spostrzeżeń.

der miłe, a poniekąd nawet wytworne. Niema tu różności barw: oko znajduje niemal wyłącznie kolor biały i modry, jeżeli pominiemy odcienie ostatniego. Wobec późnej stosunkowo daty powstania kościoła żadnymi zabytkami starożytnymi pochlubić się nie może. Z czasów odleglejszych ma pochodzić jedynie chorągiewka (powietrznik) na wieżycze kościelnej. Mianowicie wedle podania, zachowanego wśród ludu rybackiego, owa chorągiewka zabrana została z kościoła katolickiego w Starym Helu, który to kościół po zupełnym opustoszeniu miasteczka długo jeszcze wznosił się samotnie na brzegu morskim, dopóki ostatecznie nie legł w gruzu<sup>1)</sup>. Na wzmiankowanej chorągiewce

<sup>1)</sup> Dzisiejsza osada rybacka Hel (błędnie zwana z niemiecka Helą), gdzie jest zbór ewangelicko-niemiecki o pierwotnym mianie „Nowy Hel“, zbudowa-

wyryty jest pamiętny klęskami w naszych dziejach rok 1656.

Nie od rzeczy będzie w końcu nadmienić, iż w tym właśnie kościółku rozlega się podczas nabożeństw nader swoisty pod względem rytmu śpiew chóralny naszych morszczaków, przedmiot, zasługujący ze wszech miar, jak słusznie zaznacza ks. Gołębiowski, na to, aby poczynił nad nim studia który z naszych muzyków. Śpiew ów sprawia atoli szczególniejsze wrażenie wówczas, gdy jest wykonywany samymi głosami, bez towarzyszenia organów.

wana została o  $\frac{1}{4}$  mili na wschód od kwitnącego ongi podobno Starego Helu, który w XIV stuleciu miał sobie nadane przez zakon krzyżacki prawo lubeckie, na schyłku zaś XV wieku skutkiem wojen z kretesem podupadł i wyludnił się. Zarówno Nowy, jak i Stary Hel nie miał bodaj nigdy ludności słowiańskiej.



Al. Janowski.

## Imigracya polska w Stanach Zjednoczonych.<sup>5)</sup>

V. Imigracya a kryminał. (Immigration and Crime vol. 18 Senate Documents).

Rząd federalny obawia się napływu przybyszów nie tylko jako elementu, zwiększającego pauperyzm kraju, lecz także, jako obniżającego poziom moralny narodu i zapelniającego sądy i więzienie.

Komisya Imigracyjna zbadała pod tym względem dwa stany: New York i Massachusetts, oraz dwa największe miasta: New York i Chicago. Nadto brano materyał z więzień państwowych.

Rezultaty owych badań nie wypadły dla Polaków niekorzystnie; przeciwnie, chociaż zajmujemy trzecie miejsce w liczbie emigrantów, to w dziedzinie zbrodni znacznie nas wyprzedzają inne z pomiędzy 22 narodowości, wpisanych na karty kronik kryminalnych w Stanach.

A i to, co nam zarzucają, to przeważnie są rzeczy drobne, pod wpływem krewkiego temperamentu, czasem libacy dokonywane, nie rzucające ciemnego piętna na nas.

W ogólnym procencie morderstw wyprzedza nas 15 narodowości, tyleż w zbrodniach przeciw moralności. W kradzieżach nasze miejsce 12, w gwałtach 16, w pijaństwie 13, w prostytucji 18. Trochę tam z włamaniami niebardzo jest pięknie, ale i tu wyprzedza nas 8 narodowości, a i we włóczęgowstwie 7 narodowości ma przed nami pierwszeństwo.

W kradzieży trzymają prym Rosyanie, Kanadyjczycy i Włosi. W rozbojach Litwini, Słowacy i Włosi. W zakłóceniu porządku Chińczycy, Szkoci i Szwedzi. W niemoralności Francuzi, Rosyanie i Murzyni. Tak jest w Chicago.

Polacy muszą być karani za drobne sprawy, skoro nie stoją nigdzie na czele w dużych występkach, a mimo to od r. 1905 do 1908 przez więzienia chicagoskie przesunęło się 19,575 Polaków, najwięcej ze wszystkich narodowości, bo najliczniejsi więźniowie Niemcy (19,347) i Irlandczycy (10,743) idą dopiero po nas.

Najmniej u nas występków w kierunku przekroczenia istniejących praw, chociaż nasz przybysz tych praw nie zna, ma jednak instyn-

ktowne, a raczej ogólne ludzkie poczucie i poszanowanie prawa.

Najwięcej przestępców w tym kierunku dają: Grecy, Włosi i Rosyanie, bo procent karanych za przekroczenie przepisów był:

W New Yorku — Grecy	86,0 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
„ „ Włosi	39,6 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
„ „ Rosyanie	32,3 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
W Chicago — Grecy	30,8 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
„ Rosyanie	17,7 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
„ Włosi	13,5 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>

Nasi przybysze wybitnie wyróżniają się od Włochów, którzy smutną tu sobie wyrobili opinię, stoją bowiem na czele w występkach: wymuszenia, uprowadzenia, zabójstwa i gwałtu. Rodowici Amerykanie, ażeby nie dać się zakasować przybyszom, trzymają prym we włamaniach, rabunkach, naruszeniu własności. W niemoralności celują Francuzi, we włóczęgostwie Anglicy i Amerykanie, w kradzieżach Żydzi, w zakłóceniach porządku Irlandczycy i Kandyjczycy.

Pod zarzutem morderstwa lub usiłowania morderstwa było 30 czerwca 1904 r. 1,213 osób, z czego Włochów 393, Meksykańczyków 177, Niemców 113, a naszych 68. Najmniej było Czechów, bo tylko 6.

W cztery lata później ogólna cyfra więźniów tej kategorii wynosiła 1,588, a podział na narodowości został prawie ten sam, dla nas czwarte miejsce po Włochach, Meksykańczykach i Niemcach.

Komisja Imigracyjna miała przeświadczenie o zbawiennym wpływie Stanów na drugą generację przybyszów, jednak przeprowadzone badania nie stwierdziły tego zapatrywania, często bowiem w wielu kierunkach druga generacja przewyższa w występkach swych rodziców.

I tak kradzieże wzrosły w drugim pokoleniu u Niemców, Żydów, Irlandczyków i Włochów. Rozboje wzrosły u młodych Anglików. Na kary za zakłócenie spokoju publicznego zasłużyli więcej niż ich ojcowie młodzi Anglicy i Irlandczycy. Natomiast występkę przeciw moralności zagineły prawie, bo przedstawiają zaledwie ułamek procentu.

Niestety, w grupie przestępców małoletnich, poniżej 19 lat wieku, Polacy pierwsze zajmują miejsce. Największy procent występ-

ków przeciw własności jest wśród dzieci polskich, stanowi on 51,1<sup>o</sup>/<sub>o</sub> oskarżonych Polaków, podczas gdy u innych narodowości waha się około 30<sup>o</sup>/<sub>o</sub>. W wykroczeniach przeciw społeczeństwu nasi stanowią 38,4<sup>o</sup>/<sub>o</sub> a wyprzedzają ich Włosi, Irlandczycy, Anglicy.

To więc czarną plamą na nas leży.

Z przeglądu tego tomu prac Komisji Imigracyjnej wynosi się wrażenie: 1) że w sprawie występku Polacy są o wiele moralniejsi od innych zachodnich i południowych ludów Europy.

2) Że wykroczenia ich w większości wypadków zaliczać się mogą do t. zw. dorobnych przestępstw.

3) Że nie notowane są u nas występkę wysokiej niemoralności, jak kazirodztwa lub zbrodni przeciw naturze.

4) Że natomiast zatrważająca jest liczba występów wśród małoletnich, co w znacznym stopniu musi być przypisane obniżeniu powagi rodziców i przez to zmniejszeniu wpływu domu. Owa zaś powaga doma rozbija się o niezajomość języka angielskiego, którego rodzice nie znają, zaś dzieci władają nim dobrze. Stąd pogardliwe traktowanie starszego pokolenia przez dzieci. Niemalże też wpływa na to ogólna swoboda, z jakiej korzystają dzieci w Stanach, gdzie niewolno jest dziecka dotknąć, ani karać, bo ma ono prawo wnieść zażalenie do sądu i rodzice czy opiekunowie będą wezwani do wyjaśnień. Aby uniknąć zatargów, rodzice na wiele rzeczy patrzą przez szpary, a dzieci tej sytuacji nadużywają.

U ludów, biegle znających prawo tutejsze i język angielski, nie jest to postrachem, lecz nasi chłopcy, co wynieśli z kraju przestrach przed każdym urzędem, wołają się nie narażać.

Dużo też wpływa na występki znaczna liczba dzieci, trzymany w domu, bo z braku zajęcia rzucają się one do występku, a tablice wykazują, że z dzieci od 6 do 16 lat pozostaje:

	w domu	w szkole	w pracy
Polaków	10,6	83,4	6,0
Czechów	4,3	92,3	3,4

Cóż owych jedenaścioro dzieci na setkę robi? Wałęsa się po ulicy i dostaje się pod najgorsze wpływy.

C. D. N.



# Z NASZEJ TURYSTYKI.

Tadeusz Radliński.

## „Gdzie wschód się kończy...”

4)

### IV. W Mandżuryi.

Nazajutrz (poniedziałek) ogarnia nas wkoło pusty, głuchy, zupełnie niezamieszkały falisty step zachodniej Mandżuryi. Jak okiem zasięgnąć, falujące pagórki, zeszlorczną zeschlą i żółtkłą trawą pokryte; trawa ta gdzieś jest wypalona i ciemne platy wypalanej przestrzeni tworzą zdaleka na pagórkach jakby szachownicę pó! Fata morgana. Przerażliwa pustka wieje od tych bezludnych i bezwodnych pustyni! Gdyśmy przejeżdżali bezludne stepy gub. samarskiej, pułkownik rzekł do mnie: to jeszcze nic, czekaj pan Syberyi; w Syberyi powiedział mi to samo: dopiero w Mandżuryi zobaczysz pan co to znaczy pustynia.

I rzeczywiście dopiero na tych spalonych od słońca bezmiernych pustyniach człowiek nabiera pojęcia co to jest pustynia. Gdzieś zdaleka sznurem ciągnie karawana wielbłądów na horyzoncie. Idą one powoli, wszystkie garbate.

Powiało na nas Azją Środkową! Tamto wszystko było jeszcze szczytem kultury — to dopiero Azja. Dalej spotykamy tabun źdździałych koni, strzeżony przez paru takichże Mongołów.

Przypomina mi się mój maleńki podówcza Stefek, gdy mnie zagadywał raz przy obiedzie, chcąc odwlec rozmową chwilę zjedzenia zupy. „A czy tatuś widział kiedy źdździałe konie?” — zapytał poważnie, rąbiąc każde słowo wyraźnie — „Nie, jedź zupę”, „A czy tatuś chce zobaczyć takie źdździałe konie?” — „Owszem, ale ty jedź zupę”. „To tatuś kiedyś zobaczy”, wyrzekł prorocze słowa — i rzeczywiście zobaczyłem. Małe, długą sierścią leniącą pokryte, o bardzo dużym łbie i kołtuniastych ogonach i grzywach, płowo-gniadawej maści — nie robią one wrażenia „szlachetnego” zwierzęcia.

Oto i stacja Mandżurya — pierwsza stacja chińska; dojeżdżając mijamy słup graniczny, imperyum rosyjskie skończone — zaczyna się imperyum — przepaszam — republika Środka.

Podczas godzinnego postoj i rewizji celnej (cia w ręku Anglików) przyglądam się ciekawie ciemnym twarzom i długim sukniom Mandżurów. Ot i żandarm chiński w europejskim mundurze z galonami na czapce. Nie ma on jednak prawdziwie „żandarmskiej” miny! Bodaj to „nasi” żandarmi.

Po drugiej — chińskiej — stronie peronu stoi pociąg „Wschodnio-Chińskiej” dr. żel.: ogromne z żelaznej blachy pulmany, elegancko odrobione z wijąciami literami K, B. Zegar znowu posuwamy parę godzin naprzód i wkraczamy w granicę drugiego z kolei na świecie pod względem wielkości państwa — Republiki Środka (co się tyczy porządku,

a właściwie braku takowego, to stanowczo zajmuje pierwsze miejsce!)

W nocy mijamy Chingan — granicę klimatyczną, poza którą jest zupełnie lato. Przespałem te góry, a bardzo żałuję, bo podobno bardzo ładny wjazd. Nazajutrz rano stepy takie same, tylko bardziej płaskie. Spotykamy ciągnące się dziesiątki wiorst szwarem zarosłe bagniska — raj dla myśliwego. To też ciągle na rzadkich stacjach spotykamy rosyjskich oficerów i kolejarzy — w groźnych nemrodów obwieszonych zdobyczą przedzierzgniętych.

Miast ani wiosek nie widać żadnych, bo z woli Syna Słońca linię kolejową wytknięto tak, że miasta (Chajlar, Cycykar) nie są zarażane obecnością przejezdnych dyabłów zamorskich. O godz. 5 popołudniu mamy stanąć w Charbinie. Zwolna panorama się zmienia: zamiast głuchych stepów migają nam przed oczyma starannie uprawne pola. Mnóstwo barczystych postaci o czarnych włosach i niebieskich kurtkach motyką uprawia łany. Migają przed oczyma liczne fanzy — widać, że okolica zaludniona i że rodzi dobrze. Wywożą stąd pszenicę, bób i ziarno sezamu na olej.

O godz. 5 stajemy w Charbinie. Tu nasz pociąg idzie dalej do Władywostoku, a my skręcamy ku połudn.-zachodowi, ku Mukdenowi. Tymczasem cel naszej podróży to Hankou w Chinach środkowych nad Jantsekiangiem, centralny punkt handlu herbatą; dojechać doń możemy dwiema drogami. Pierwsza przez Mukden na zachód do Pekinu, a stamtąd do Hankou — jest to droga cały czas kolejaj; albo z Mukden na południe do Dairen, tam na parostatku japońskim do Szanhaju i parostatkiem wgórę rzeki Jantse do Chanka. Tak bardzo mamy dosyć jazdy kolejaj, że wybieramy tę drugą drogę, pomimo, że w ten sposób ominiey Pekin, ale zato zobaczymy pola bitew Dairen. O 8 wieczór rusza jedyny na dobę na kolei Wschodnio-Chińskiej pocztowy pociąg do Kuańczendzy (nasz szybki № 6 kursuje tylko do Mandżuryi) i wlokąc się niemilosiernie długo, stajemy o 5 rano w tej ostatniej rosyjskiej stacji w Mandżuryi. O dziesięć minut drogi dalej leży stacja Czań-Czuń — pierwsza japońska stacja japońskiej linii kolejowej „South-Manchuria Railway”.

Ostatnia noc zesła nam bardzo źle. Pociąg wlecze się niemilosiernie, stojąc po ¼ godziny na każdej stacyjce. 222 wiorsty wlecemy się 9¼ g., już nawet słynne nadnarwiańskie pociągi chodzą prędzej. Ale widocznie nie leży to w widokach sfer miarodajnych ułatwiać i udostępnić komunikację z Japonią i Chinami przez South-Manchuria Railway, bo w oficjalnym „putiewoditielu” „stoi”, że rozkłady jazdy na południe od Kuańczendzy do Mukden, Pekinu, Dairenu i t. d. są „niedostarczone” na 1913

rok. Wiem, że w okresie po wojnie komunikacja nawet ekspresami na tej linii była bardzo utrudniona i dopiero po wielu układach rząd japoński wymógł ostatecznie choć jeden pociąg na dobę z Charbinu do Czańczunia — skąd mamy już 5 czy 6 pociągów dziennie dalej, jak na Japonię przystało. Znękani nieprzespaną nocą (niema tu pulmanów z plackartami, jeno strasznie trzęsące dwuosiówki, jakie jeszcze widują gdzieniegdzie i u nas — Nowomińsk, Pilawa lub Tłuszcz i Ostrołęka!) wyśiadamy w Czańczuniu na stacyi o 5 rano.

Stacye japońskie całkiem różnią się od europejskich; są to maleńkie miejsca do sprzedaży biletów, a nie do jedzenia, picia, spania, jak w Rosyi. Kto chce spełniać te funkcye, ten obok stacyi ma t. zw. hotel kolejowy, świetnie po angielsku urządzone, gdzie może przepędzić dzień cały bezpłatnie, płacąc tylko za wytworne po angielsku przyrządzone jedzenie i nocleg. Do takiego hotelu „Jamato“ obok stacyi zdążamy. Umywszy się podążam na stacyę badać rozkłady. Okazuje się, że pociągów mamy moc do wyboru. Wyjechawszy o 12 w południe staniemy w Dairen o 7 rano w czwartek, mamy więc kilka godzin czasu.

A więc jesteśmy pod berłem władcy kraju Wschodzącego Słońca! Obiegam dokoła uliczki miasteczka, małe niskie fanzy, sklepiki, napół Chiny, północnej Japonii znać tu mało; wszędzie typy północnych Mandżurów, Japończyków spotyka się niewielu i przeważnie po europejsku ubranych. To jeszcze nie Japonia! Nie zdołała ona się tu jeszcze zaaklimatyzować, wszczepić swoją krew w to mandżurskie ciało. Wnętrze jest mandżurskie, choć zewnątrz — japońskie. Pytam „boja“ w hotelu, ilu też jest mieszkańców w Czańczuniu? „3,000“ odpowiada. Jaki to? tylko 3,000 Chińczyków? zdawałoby się, że ich tu więcej. O nie, 3,000 Japończyków, któżby tam liczył Chińczyków!

Punkt o 12 ruszamy. Tor kolei pozostał dawniejszy rosyjski, szerokotorowy. Tabor cały sprowadzony z Ameryki (a może tylko naśladuje tak dobrze). Olbrzymiej długości 6-ioosiowe pulmany, dosyć niskie, szyba przy szybie, łączone po amerykańsku bez buforów, jedną klamrą w środku, niosą szybko, lekko i zupełnie bez hałasu. Parowozy amerykańskiego typu z drewnianą barjerką do odzucania przeszkód z toru na przodzie, z sygnałowym dzwonkiem, jak na podjazdowych kolejkach. Klas trzy: I przeznaczona dla europejczyków, którzy

tu wyłącznie nią się posługują, za co im każą słono płacić sprytni Japończycy (27 jenów I kl. z Czańczunia do Dairen, 11—druga, 7—trzecia). Elegancki wagon o aksamitnych 2-osobowych siedzeniach, bardzo mało osób. II klasa — wszystko to samo, tylko siedzenia bez aksamitu — pełno japońskiej publiczności. III kl. bez siedzeń — pod ścianami siedzą w kuczki bronzowi czarnowłosi „kuli“ mandżurscy. Żaden Japończyk, jako przedstawiciel klasy zdobywców — panujących — nie pojedzie III klasą. Prości żołnierze jadą II, a oficerowie I. Podział narodowościowy ściśle zachowany. Ja wywołuję wielkie zdziwienie tragarza, gdy każę nieść rzeczy do II klasy, ale wolę widzieć przed sobą Japonię, niż nadęte twarze kilku europejczyków, którzy tu na Wschodzie strasznie robią panów. Najmarniejszy „biały“ uważa się za znacznie lepszego od najlepszego „żółtego“, co znów żółci wyzyskują w ten sposób, że biali za wszystko musi 2—3 razy tyle płacić. Stąd to pochodzi, że życie europejczyka na Dalekim Wschodzie jest nadzwyczaj drogie, w kraju, gdzie życie krajowca jest prawie za bezcen. Za kurs rikszy Chińczyk płaci 3 centy, ale europejczyk nie może dać mniej niż 10 centów, i tak samo jest ze wszystkim. Noblesse oblige.

Porządki kolejowe japońskie są doskonałe. Pociąg biegnie szybko, nadzwyczaj punktualnie — postoje częste ale nadzwyczaj krótkie, publiczność karna, zręczna, uprzejma — szybko bez hałasu zajmuje miejsca, jeden drugiemu najchętniej miejsca ustąpi, nie słychać podniesionego głosu, nie mówiąc już nawet o przekleństwach. A przecież otaczają nas ludzie prości, żołnierze. Wyobraźmy sobie nasz przeciętny wagon napchany pospółstwem i żołnierzami. Przeskok jest tak ogromny, że się wierzyć nie chce, że ledwie parę godzin dzieli nas od kulturalnej Europy do barbarzyńskiej Azji.

Kolej Mandżurska „S. M. R.“ jako anektowana wojskowo jest pod ścisłą wojskową opieką. Na każdej stacyi są wojskowe posterunki. Z ciekawości przyglądam się żołnierzom. Nizkiego wzrostu, krępi muskułarni, w umundurowaniu kaki (szaro-zielono-żółte) z małemi epoletami w poprzek ramienia, czerwona obwódka na czapce z 5-ramienną gwiazdką. Żadnych cyfr, liczb, coby wskazywały numer pułku lub dywizyi. Uzbrojeni są z istic japońską drobiazgowością i dokładnością — wszystko mają przy sobie, co im się w pochodzie lub bitwie przydać może.

C. D. N.



## Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



D. 17 maja o godz. 5.40 rano z warszawskiego dworca kolej Warsz.-Wied. wyruszyło 70 uczestników wycieczki do puszczy Korabiewskiej i do Studzieńca.

Do wycieczki w Grodzisku przyłączyło się 7 osób z Oddziału Błońskiego z prezesem A. Chrzanowskim na czele, w Żyrardowie zaś 5 osób z Tow. Samokształcenia z p. Jabłońskim jako przewodnikiem; zatem 82 osób wysiadło w Staro-Radziwillowie.

Zwiedzono przedewszystkiem piękny kościół, 6 lat temu wybudowany przez Sobańskich, na skraju lasu stojący we wsi Bartnikach, pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego.

Piaszczystą, ciężką drogą przebyto 5 wiorst, kierując się lasami w stronę Studzieńca. Po drodze pierwszy odpoczynek w lesie — śniadanie. Tu przewodnik w krótkich słowach streszcza historię zakładów w Studzieńcu i Puszczy, wyjaśniając ich cel, środki, kierunek i wyniki obecne według sprawozdania za r. 1912 (za rok 1915 w druku). O godzinie 10.30 dotarto do Studzieńca. Po uroczystej, śpiewanej wotywie odbyła się rewia chłopców, której przygrywała orkiestra dęta, możliwie zgodna, z dwudziestu kilku wychowawców złożona.

Następnie p. F. Jaros, dyrektor Zakładu, oprowadził wycieczkę po wszystkich pawilonach, salach, ubikacjach i zabudowaniach gospodarczych, pomijając warsztaty, nieczynne w święto.

Zakład liczy obecnie 161 wychowawców, zbiegło 21, w roku bieżącym ilość powiększy się do 200.

Od początku istnienia osady Studzieńca (1872 r.) jest zapisanych w księdze rodowej przeszło 1800 chłopców, z których dziś w większości są dobrzy rolnicy, rzemieślnicy, robotnicy i inni ludzie uczciwej pracy. Koszt przeciętny rocznego utrzymania wychowawca wynosi rb. 286. Chłopcy w zakładzie są zatrudnieni w ten sposób: 2 godz. dziennie lekcji (trzyoddziałowy kurs elementarny), roboty w polu i ogrodzie; w warsztatach: szewckim, stolarskim, kowalskim, krawieckim, kołodziejским pracują podzieleni na odpowiednie grupy.

W zakładzie jest dość liczny personel nauczycielski, majstrowie poszczególnych rzemiosł, oraz kilku instruktorów — wychowawców.

Zakład robi ogólne wrażenie internatu więziennego. Chłopcy niezwykle ponuro usposobieni; brak tu pogody, ciepła, jakiegoś serdeczniejszego, łagodniejszego stosunku nauczyciela do ucznia, wychowawcy do wychowawca, z którego ma wyrosnąć dobry człowiek.

Pod tem dość przygnębiającym wrażeniem inną drogą przez lasy ruszono w stronę Puszczy. Po drodze na godzinnym odpoczynku w lesie spożyto obiad z własnych zapasów.

Do kościoła w puszczy Korabiewskiej albo Maryańskiej wycieczka weszła o godz. 2 m. 30. Tu przewodnik w krótkim odczycie opowiedział historię kościoła modrzewiowego z 1670 r., powiększonego w r. 1655 przez ks. Sanguszków, oraz historię

zakonu maryanów, którzy tu pierwszy swój klasztor założyli. Następnie obejrzano kościół i kilka starych pamiątek, z których najcenniejsze: piękną kapę turecką, ofiarowaną przez Jana III, i jedyny portret ks. Papczyńskiego, założyciela zakonu, pokazał uprzejmy ks. proboszcz Łagodziński.

Od kościoła do zakładu poprawczego dla dziewcząt w Puszczy 1/2 wiorsty. Przyjęły wycieczkę bardzo serdecznie panie wychowawczynie z przełożoną p. K. Rogozińską na czele. Po zdjęciu dwóch grup: wycieczki z p. przełożoną i wychowanek, zwiedzono cały zakład. Wychowanek zakład posiada 47, z których część tylko jest skazanych przez sądy; reszta przebywa dobrowolnie, jako dziewczęta bez opieki lub środków do życia, przysłane tu przezwane przez Tow. ochrony kobiet.

Wszystkie wychowanki sposobione są na gospodynie wiejskie, kucharki, pokojowe, praczki, szwaczki i tkaczki. W tym też celu oprócz urzędzeń gospodarczych, pola i ogrodu istnieje warsztat tkacki i szwalnia. Szkoła składa się z trzech oddziałów w zakresie elementarnym jednoklasowym. Nauka trwa 6 godzin dziennie. Piękny pawilon główny, w którym mieszkają dziewczęta, niezwykle malownicze położenie całej osady, kobieca dobroć i macierzyńska prawdziwie opieka przełożonej i wychowawczyń, wszystko składa się na zupełnie inne usposobienie dziewcząt, zupełnie inny charakter daje całemu zakładowi. To też czuła się tu wycieczka jak po dniu słotnym czuje się człowiek w piękne, słoneczne południe. Starano się krótki jej pobyt możliwie przyjemnym uczynić. Śpiewały dziewczęta wesoło zgodnym chórem, wyniesiono gramofon, zaczęły się tańce. A tymczasem zastawiono stoły doskonałym mlekiem i chlebem wiejskim, co niemal momentalnie znikło, pochłonięte przez spragnionych i zmęczonych wycieczkowców.

Odwdzięczono się za to drobną składką, którą przełożona przyjęła jako ofiarę na książki do biblioteki. Po serdecznym pożegnaniu ruszono lasami, prowadzeni okólną drogą ku stacyi przez bardzo uprzejmego nauczyciela z Puszczy. W lesie jeszcze zatrzymano się na dwugodzinny odpoczynek.

Wrócono do Warszawy o godz. 11.27 w nocy. Wszyscy uczestnicy przyczynili się ładem i harmonią do tego, że wycieczkę zaliczyć można do udanych w zupełności. Przewodnikiem był p. Wacław Szelażek.

+ 25 lutego Oddział Częstochowski P. T. Kr. urządził wycieczkę do fabryki wyrobów konopnych i szpagatu w Częstochowie pod firmą „Stradom“, przy udziale 38 osób, przeważnie młodzieży.

14 i 15 marca urządzono 2 publiczne odczyty w Częstochowie. Oddział zaprosił do wygłoszenia ich p. Maryę Stolyhnową z Warszawy. 14 marca treścią odczytu był „Człowiek przedhistoryczny“, a 15 marca „Sposób upiększenia ciała u ludów dzikich i kulturalnych“. Oba odczyty, uzupełnione przezroczami, niezmiernie ciekawe i pouczające, wypowiedziane były z wielką swadą; publiczność, jak zwykle w Częstochowie, zawiodła; to też odczyty dały deficyt.

Posiedzeń Zarządu od początku roku odbyło

się 7, oraz jedno miesięczne dla wszystkich członków. Przybyło Oddziałowi nowych członków 9.

+ Komisja wycieczkowa projektuje na czerwiec następujące wycieczki z Warszawy: 14 czerwca—do Wyszogrodu statkiem Górnickiego, z Wyszogrodu zaś pieszo przez Kamień, Brochów, Żelazową Wołę i Trojanów do Sochaczewa. Prowadzi p. K. Maszki. Ceny: 2 rb., 2,40, 3 rb. 21 czerwca do jeziora Chodeckiego również pod przewodnictwem p. Maszkiego. W wycieczce tej przyjmą udział członkowie Centrali Warszawskiej oraz Oddziałów: Łowickiego, Kutnowskiego i Kujawskiego. Ceny 4 rb. 75 kop., 5 rb. 25 kop., 6 rb. • Wyjazd o godz. 5 m. 40 rano — powrót o 1,05 nocą.

28 i 29—do Nałęczowa, Kazimierza n. Wisłą, Bochotnicy oraz Janowca. Prowadzi p. W. Szelążek. Od Nałęczowa caławycieczka ma być odbyta pieszo.

oooooooo

## Nowe książki.

*Katalog Antykwarni Warszawskiej. Krajoznawstwo, str. 95.*

Jest to czwarty już z rzędu katalog młodej ale ruchliwej firmy, poświęcony tym razem wyłącznie dziedzinie, bliżej nas, krajoznawców, obchodzącej. Wobec braku systematycznie opracowanej bibliografii krajoznawstwa, obejmującej w zaokrąglonej całości literaturę przedmiotu od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy — nawet takie, z natury rzeczy niekompletne i przypadkowe zgrupowanie większej ilości prac nie jest bez wartości i pożytku. Nie może być mowy o tem, aby ktoś, przystępując do opracowania jakiegokolwiek tematu krajoznawczego, poprzestawał w poszukiwaniach bibliograficznych na najlepiej choćby ułożonym i najbogatszym katalogu księgarskim, faktem jest tem niemniej — bardzo smutnym lecz bardzo prawdziwym — że w naszych warunkach pracy bez takiego katalogu obejść się trudno i trzeba się cieszyć nawet z tej małej pomocy, skoro lepszej na razie znikąd znaleźć nie można.

☐ Katalog obejmuje 1975 numerów; ułożony jest oczywiście alfabetycznie podług autorów z równoczesnym zebraniem dzieł, opisujących jakąś większą jednostkę (Kraków, Wilno, Lublin, Płock, Łowicz i t. p.) w jedną całość. Oprócz sporej ilości dzieł dawnych, mogących służyć za materiał źródłowy, a w każdym razie za konieczną podstawę każdej większej biblioteki krajoznawczej (Kromer, Nakielski-Miechovia, druki XVI i XVII, poświęcone opisom klasztorów i kościołów), katalog obejmuje sporą ilość dawnych czasopism i wydawnictw okolicznościowych, uwzględniających krajoznawstwo jak wiadomo więcej niż czasopisma dzisiejsze, oraz bardzo dużo ulotnych broszurek, zawierających krótkie, mniej lub więcej prawdziwe — opisy kościołów, cudownych obrazów i t. p. Druki te, wydawane dla zaspokojenia potrzeb religijnych okolicy i skromnych ambicyj autorskich, u Estreichera notowane są rzadko kiedy, nie docierają najczęściej nawet do rynku książkowego, z tego więc względu „Katalog“ niniejszy nabiera pewnej większej, nieprzemijającej wartości.

T-t.

oooooooo



MEBLE W RÓŻNYCH STYLACH SOLIDNEJ ROBOTY

POLECA

P. GRODECKI

ulica Marszałkowska 68, telefonu № 112-94,  
od 8 maja na Żórawiej 33.

Pp. Członkom Tow. Krajoznawczego ustępstwo.



---

**TREŚĆ:** *S. Matusiak* — Koń w naszych wierzeniach ludowych. *J. Dąbrowski* — Miasteczko w zaborze pruskim (z 2 ryc.) (dok.). *Nora Walicka* — Połąga (c. d.) (z 2 ryc.). *Bolesław Ślaski* — Kościół rybacki w Jastarni (z 1 ryc.). *Al. Janowski* — Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych (c. d.). — Z naszej turystyki. *Tadeusz Radliński* — „Gdzie wschód się kończy...“ (c. d.). — Z Pol. Tow. Krajoznawczego — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki. — Wkładka: Dworek w Tarchominie (pow. warszawski).

---

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.